

ROZDZIAŁ  
XII  
libretto

PIERWSZA CELEBRYTKA III RP  
JUŻ W PEŁNEJ KRASIE

*Wszystko już mnie inspiruje,  
żyję moim scenariuszem,  
pomysły rodzą się jeden za drugim.*

**Prawdziwa promocja z dużą dozą happeningu**

Nadszedł upragniony dzień prezentacji i promocji magazynu „Dom & Wnętrze”, powstającego niejako pod prąd wszystkiemu, co wówczas działo się na rynku wydawniczym. Uroczystość miała miejsce 18 października 1991 roku. Oprawa, zgodnie z moim życzeniem, miała być odpowiednia. Piękne wnętrza i zaszczytne grono twórczych elit. Hotel Marriott udostępnił nam największą salę balową. To prestiżowe miejsce w Warszawie stosunkowo niedawno otworzyło wówczas swoje podwoje i niewiele osób miało sposobność tam być, tym bardziej więc liczyliśmy na liczne przybycie gości. Program był skromny, ale miał swoją rangę ze względu na zaproszenie około tysiąca osób ze świata kultury i biznesu. Gospodarzami wydarzenia, oprócz mnie, byli Miss Świata

z 1989 roku Aneta Kręglicka, z którą się przyjaźniłam, oraz znany z małego ekranu Zygmunt Chajzer. Przygotowania zapewniły odpowiedni blichtr i wiarę w pomyślność.

Tymczasem dzień wcześniej w emocjach czekaliśmy na transport wyekspediowanego z drukarni w Wiedniu magazynu w liczbie stu tysięcy egzemplarzy przeznaczonych do dystrybucji i dodatkowych promocyjnych siedmiu tysięcy. Impreza była zaplanowana na piątek. Do popołudnia w czwartek transportu ani widu, ani słyhu. Wieczorem udałam się na roгатki Warszawy, aby przejąć spedycję, na wypadek gdyby zgubili się gdzieś na wjeździe do miasta. Koczowałam wraz z kierowcą całą noc. Pracownicy wydawnictwa kontaktowali się z celnikami na przejściach granicznych w celu ustalenia czasu odprawy. Nic z tego, cisza. Wróciłam nad ranem do Hotelu Marriott na chwilę przed imprezą. Ktoś dostarczył mi z domu jakieś ubrania, na miejscu uczesano mi włosy oraz zrobiono makijaż, którego już nie miałam czasu poprawić po swojemu. Tak wystrojona udałam się do sali balowej.

Poprzedniego wieczoru przyleciał z Wiednia właściciel drukarni z jednym egzemplarzem pierwszego numeru „Domu & Wnętrza” w ręku. Błady z przerażenia dowiedział się, że transport całego nakładu nie dotarł jeszcze do Polski, a powinien. Powód był nieznanym. Oddał mi ten jeden jedyny egzemplarz i skrył się w hotelowym pokoju. Zaczęli się schodzić elegancko ubrani goście, chcący nie tylko wziąć udział w uroczystości, ale przede wszystkim spotkać się w swoim gronie. Prawdopodobnie pierwszy raz w powojennej Polsce odbywała się impreza towarzyska na taką skalę, która była dedykowana ludziom ze świata sztuki, biznesu i mediów.

Gala z kieliszkiem szampana i oglądanie reklamy magazynu na telebimach miały być tylko tłem dla promocji „Domu & Wnętrza”. Wydrukowany magazyn, chociaż obecny na uroczystości tylko w pojedynczym egzemplarzu, potwierdzał jego istnienie. W związku z nowymi okolicznościami powstał odmienny scenariusz imprezy. Honorowi gospodarze przywitali zebranych gości i zapowiedzieli



Promocja magazynu była niemal zabawna

niespodziankę. Z małą srebrną walizeczką, tą, do której wcześniej spakowane zostały moje ubrania, wkroczyłam do sali. Otworzyłam ją i pokazałam unikatowy egzemplarz magazynu, prosząc o przekazywanie go sobie z rąk do rąk. Z uśmiechem na ustach wspomniałam o zawirowaniu związanym ze spedycją i obiecałam wszystkim obecnym prenumeratę na cały rok. Małe zadośćuczynienie, aby odczarować złą passę.

Zadowoleni goście, opuszczając salę balową, zostali zaskoczeni spektaklem rozgrywającym się w korytarzu. Do rąk własnych otrzymywali jeszcze ciepłutki pierwszy numer zupełnie innej gazety wnętrzarskiej – „Cztery Kąty” wydawnictwa Prószyński i S-ka. Pracownicy konkurencyjnego wydawnictwa wiedzieli, gdzie, kiedy i jak się wylansować, podpinając się pod naszą promocję. Wykręcili niezły numer, podobno bez wiedzy prezesa. Chociaż został zaproszony na imprezę, to nie przyszedł. Sama, opuszczając jako ostatnia salę hotelową, zgarnęłam pamiątkowy numer tego parzącego niczym gorący kartofel wydania „Kątów”. Co wówczas czułam, uleciało wysoko. Widoczne nie zapisało się w mojej pamięci.

Za to zapamiętałam, że byłam okrutnie zmęczona. Pojechałam do domu i tyle.

Z informacji, która później do nas dotarła, kierowca spedycji postanowił spędzić weekend w Czechosłowacji. To się nazywa zbieg okoliczności. Śmiać się czy płakać? Pomimo zawirowań tir się odnalazł i czasopismo dotarło do magazynów RSW Ruch w poniedziałek nad ranem. Kioski dostały kolejną nową gazetę do sprzedaży. Zadanie wykonane.

### **W życiu redakcyjnym nie ma czasu na przestoje**

Przekazaliśmy do druku kolejny numer, oznaczony jako 1/1992, który miał się ukazać w pierwszej połowie grudnia. Tym samym rozpoczęliśmy erę wprowadzania gazety na rynek z pewnym wyprzedzeniem w stosunku do wyznaczonej daty wydawniczej. Na szczęście „Dom & Wnętrze”, według uzyskiwanych informacji, został natychmiast zaakceptowany i miał szansę stać się trampoliną do lepszego życia.

Z ogromnej troski o sens wypowiedzianych słów poprosiłam o wsparcie w zredagowaniu edytorialu wybitnego literata, chciałam, by pomógł mi jak najpiękniej wyrazić moje przesłanie do kolejnego numeru. Później płakałam nad powagą i głębią skierowanego do czytelników przekazu. Ta wypowiedź, chociaż już odległa w czasie, nieustająco pozostaje mi bliska i uważam ją za piękną. Mowa w niej o miłości do Ojczyzny i szczególnych chwilach, w których odradzają się słowa nadziei i wiary w lepszą i godniejszą przyszłość Polski.

Ponieważ druk magazynu odbywał się w Wiedniu, operacja przekazywania materiałów do druku, a następnie zatwierdzenie próbnego wydruku, były to zawsze operacje karkołomne. Pierwsze dwa numery technologicznie były przełomowe. W cztery osoby – dwóch dyrektorów: artystyczny i do spraw produkcji, tłumaczka oraz ja – zawoziliśmy nasze prace na dyskietkach i na miejscu z niepokojem oczekiwaliśmy, czy wszystko zostało przygotowane zgodnie z zaleceniami.

Każdy dzień w wydawnictwie wiązał się z innymi niespodziankami. Coraz więcej pracowników, autorów i pomysłów co dalej. Praca goniła pracę.

### **Kto by się tego spodziewał?**

Któregoś dnia pod koniec listopada zostałam poinformowana przez kapitułę Polskiej Korporacji Biznesu, że chcą mi wręczyć honorowy tytuł Businessman 1991. Wydarzenie zapowiadało się z rozmachem godnym światowej miary z dużym potencjałem promocyjnym. Po raz pierwszy w Polsce pojawiła się tego typu aktywność. Zgodziłam się na wzięcie udziału w ceremonii, która miała mieć miejsce na Zamku Królewskim w styczniu kolejnego roku.

Uroczystość została przewidziana jako wielka gala. Wiedziałam, że biorąc udział w takim wydarzeniu, powinnam wyglądać odpowiednio godnie. Tylko co powinnam na siebie włożyć, zasiadając w Sali Balowej w obecności szacownych gości? Za poradą kogoś ze znajomych wybrałam się do Mody Polskiej, do samego głównego projektanta Jerzego Antczaka, a on – zupełnie niezdziwiony moim dylematem – powiedział, że w swoich magazynowych zasobach ma wszystko na każdą okazję. Prototypy strojów i ubrań, które odpłatnie pożyczał potrzebującym. Wybrałam czarną lejącą suknię do ziemi, która była niemal idealna. Niestety, kiedy wróciłam do domu, okazało się, że pachniała lekko potem wymieszanym z perfumami. Oczywiście była już wcześniej noszona. Teoretycznie mogłam ją oddać do pralni, ale bez gwarancji, czy nie zostanie uszkodzona.

Udałam się do Rembertowa, czyli na targowisko słynne z importowanych ciuchów. Tam na jednym ze straganów czekała na mnie jak na zamówienie wyjątkowa suknia z zielonej tafty i adamaszku. Wyglądałam w niej, jakbym rzeczywiście pochodziła z królewskiego rodu. Bufiaste rękawy, długa i podobna do tej, w której kiedyś na jakimś balu wystąpiła księżna Diana. Tak wystrojona, z czarnymi długimi rękawiczkami i naszyjnikiem Diora, udałam się na galę. Nie sądzę, że można było uznać mnie za tę, która

urwała się z arystokratycznej choinki, bo wyglądałam jak milion dolarów. Do tego byłam pośród wielu laureatów jedyną kobietą. Nie miałam więc żadnej konkurencji, jeśli chodzi o strój. Sala Ballowa na zamku wypełniona była po brzegi gośćmi. Warszawska śmietanka pojawiła się w całości, obowiązywał *black tie dress code* odpowiedni do miejsca. Uroczystość poprzedził koncert symfoniczny, dopiero potem nastąpiło rozdanie nagród.

***W małej notatce prasowej można byłoby tak to ująć:***

*Osiemnastego stycznia 1992 roku na Zamku Królewskim odbyła się uroczystość wręczenia honorowych tytułów związanych działalnością biznesową.*

*W kategorii: Najlepszy debiut w biznesie w 1991 roku, tytuł przypadł założycielce i współtwórczyni magazynu „Dom & Wnętrze”*

*Ewie Sochacki – za innowacyjną działalność edytorską.*



Na Zamku Królewskim z małą, ale ciężką  
statuetką zaświadczającą o moim  
debiutanckim sukcesie

Jako nagrodę otrzymałam rzeźbę z brązu Anny Wolskiej oraz złotą, wysadzaną brylancikami broszkę, wszystko sygnowane nazwą wydarzenia. Pamiętam też, że po uroczystości udzielałam wielu wywiadów. Byłam pytana, jak to jest być kobietą biznesmenem. Odpowiedziałam, że kobieta może działać więcej, bo grając podwójną rolę, czyli mężczyzny i kobiety, jest uprzywilejowana. Przez ponad rok oglądałam siebie w czołówce Kuriera Warszawskiego. Niby to tylko mignięcie, ale za to na samym początku.

Zdradzę małą tajemnicę związaną z sekretnymi elementami przygotowywania ceremonii. Inicjatywa przyznawania tych nagród miała w Polsce miejsce po raz pierwszy, więc nie było sponsorów. Sami siebie sponsorowaliśmy. Była zrzutka, mała, ale była. Uzyskanie tego tytułu zdecydowanie nakręciło potem spiralę zaproszeń do rozmów i wywiadów w telewizji, gazetach i radiu. Zostałam zaprezentowana w niemieckim magazynie „Madame” wraz z innymi wyjątkowymi polskimi kobietami: dyrygentką Agnieszką Duczmal oraz Korą. Nagrano też u nas w Aninie odcinek serialu o ciekawych domach na świecie dla telewizji francuskiej.

### **Promocja, reklama i jeszcze raz promocja**

Wiedziałam, że gdyby to było piśmiennictwo plotkarskie, to inna bajka. Ploteczki same się sprzedają, w przeciwieństwie do nowego i ambitnego kontentu związanego ze stylem życia. Każda decyzja związana z promocją musiała być rozważana pod kątem nakładów finansowych. Szukałam rozwiązań alternatywnych, dlatego rozpoczęłam nawiązywanie kontaktów z partnerami barterowymi do wzajemnego reklamowania się na łamach różnych gazet. Ta forma promocji jeszcze wówczas nie istniała, bo gazety wydawane we wcześniejszych latach sprzedawały się na pniu. W ramach niekonwencjonalnych pomysłów uzyskaliśmy zgodę na skorzystanie z dostępu do poczty poselskiej i przekazanie do sejmu i senatu setek egzemplarzy. Pamiętam, że koperty oprócz magazynów miały zawierać kartkę świąteczną z wydrukowanymi życzeniami i faksymile

mojego podpisu. Niestety, zabrakło go. Nie było czasu na ponowne ich drukowanie ze względu na zbliżającą się ostatnią grudniową sesję sejmową. Musiałam całą noc własnoręcznie je podpisywać.

Każdy pomysł na promocję, który mi przyszedł do głowy, próbowałam wcielić w życie. W związku z tym miałam też pewien epizod, wcale nie taki mały, związany z Miss International z 1991 roku – Agnieszką Kotlarską. Latem, podczas wyborów Miss Polski 1991, które odbyły się trzy miesiące wcześniej, ogłosiłam nagrodę dla zwyciężczyni konkursu, którą została właśnie ona. Był to wyjazd do Nowego Jorku do prestiżowej Agencji Paris – USA na sesję zdjęciową. W kolejnym roku pojechaliśmy tam razem, bo chciałam wspierać ją podczas całego pobytu. Sesja wypadła znakomicie i wkrótce Agnieszka Kotlarska stała się czołową twarzą domu mody Ralph Lauren. Jeszcze przed wyjazdem zrobiliśmy u nas w wydawnictwie sesję zdjęciową do naszego nowo powstającego tytułu związanego z urządzaniem miejsc biurowych „Just Office”. Kariera Agnieszki zakończyła się tragicznie. Kilka lat później psychofan zabił ją we Wrocławiu na oczach malutkiej córeczki. Obecnie na kanwie tej historii powstała książka autorstwa Ewy Wilczyńskiej i serial dla HBO MAX. Pojawią się w nim wątki związane z naszym wspólnym wyjazdem.

Nie sposób byłoby wymienić wszystkie z tak wielu różnych akcji promocyjnych. Było ich sporo, jako że próbowałam poruszyć niebo i ziemię, w dodatku na wszelkie możliwe sposoby. W większości były to akcje barterowe, które wiązały się z wysiłkiem organizacyjnym, ale za to bez ponoszenia kosztów. Jedną z nich był konkurs dla dzieci z cenną nagrodą do zdobycia – prawdziwym małym mercedesem, który dostałam od przedstawicielstwa Sobiesława Zasady. Innym wydarzeniem był festyn zorganizowany na dziedzińcu przed Zamkiem Królewskim, połączony z wystawą dziecięcych rysunków Dom XXI wieku. Wygrał chłopczyk z Gdańska za obrazek zatytułowany *Schodami do nieba*.

Głową miałam wypełnioną coraz to nowszymi wizjami promocji. Jedną z nich była dość niekonwencjonalna koncepcja mostu

łączącego prawy brzeg Wisły z lewym. Moja wizja i projekt futurystycznej kładki spacerowej prawdopodobnie wzięły się z tego, że tata był konstruktorem mostów. Widziałam ją oczami wyobraźni bardzo wyraźnie. Przesła pokryte specjalnym krystalicznym metalem, który nocą świecił sam z siebie kosmicznym blaskiem. Z jednej strony znajdował się przezroczysty pas transmisyjny, by osoby, które niejako przepływały przez rzekę, mogły oglądać wyjątkową wystawę umieszczoną w szklanych gablotach. Projekt mostu z trzema przęsłami, nazwany Mostem Łączącym Tysiąclecia, zaprezentowałam na spotkaniu u prezydenta Warszawy Stanisława Wyganowskiego. W sercu Europy, gdzie Wschód łączy się z Zachodem, most tego typu mógłby być symbolem scalenia dwóch światów w jeden. Cztery filary i trzy wieńczące je przęsła. Przęsło numer 1 – w nowożytnych dziejach ludzkość miała ponownie okazję witać nowe tysiąclecie. Po wiekach niepokoju mieliśmy prawo wierzyć, że będzie ono epoką dobra i pomyślności. Przęsło numer 2 – Świątynia Piękna. Ludzie pierwszego przełomu, wzruszeni tym przeżyciem, wznosili katedry. My również pragnęliśmy uczcić doniosłość chwili, moglibyśmy więc wznieść Świątynię Piękna. Przęsło numer 3 – Galeria XXI wieku. Miejsce prezentacji najpiękniejszych dzieł wzornictwa naszej epoki.

Wiedziałam, że do powitania kolejnego tysiąclecia pozostało jeszcze osiem lat, mało, ale być może czasu by wystarczyło. Zakładałam, że przedstawiona wizja mogłaby okazać się doniosłą promocją naszego kraju na świecie, a ja miałabym niezłe miejsce do reklamowania magazynu. Most o podobnym znaczeniu powstał wiele lat później jako kładka rowerowo-spacerowa i został nazwany imieniem Magdaleny Abakanowicz. Wstęga otwierająca została przecięta 28 marca 2024 roku.

**Rynek prasowy był jak randka w ciemno, niczego nie gwarantował** Mieliliśmy dalekosiężne plany, ale rzeczywistość bywała trudna do przewidzenia. Głównym źródłem finansowania gazety powinno być zdobywanie reklam. Ważna była dobra współpraca z domami mediowymi, które dysponowały wachlarzem zleceń od odpowiednio

zamożnych zleceniodawców. Rynek wnątrzarski rozrastał się, ludzie budowali domy i remontowali mieszkania wręcz na potęgę. Tymczasem rynek reklam pozostawał w tyle. Mieliśmy na szczęście w gazecie dział z modułami ogłoszeniowymi dla powstających jak grzyby po deszczu pracowni architektonicznych.

Pamiętam, jak na pierwszym spotkaniu z nowo zatrudnionym dyrektorem artystycznym Wiesławem Kędzierskim usłyszałam zadane przez niego pytanie: czy gazeta będzie subsydiowana, czy może ma mieć charakter komercyjny? Pytanie trochę jak z piekła rodem. Wydawanie gazety to bardzo droga zabawa, to fakt. Najpierw potrzebny jest duży nakład inwestycyjny, aby potem przedsięwzięcie na siebie zarabiało i z czasem można było oczekiwać mniejszego lub większego zysku.

Każdy obszar związany z rozpoczętą działalnością wydawniczą zderzał się z rzeczywistością. Pomysłowość była niejako wytrychem do otwierania coraz to nowych drzwi. Od samego początku borykaliśmy się z brakiem dostępu do lokalizacji nadających się do zaprezentowania. Właściciele odpowiednich do tego domów często ze względów bezpieczeństwa nie byli skory do ich pokazywania na łamach pisma. Na szczęście mieliśmy do dyspozycji plejadę znakomitych artystów wywodzących się ze świata fotografii albumowej, którzy mieli swoje źródła i z nich korzystali. Zasadą było również wykorzystywanie materiałów redakcyjnych opatrzonych prawami autorskimi.

Nasze wydawnictwo rozrastało się i jesienią zatrudniało już dwanaście osób. W budynku instytutu udało nam się pozyskać dodatkowe pokoje. Zabawne, bo znajdowały się w oddzielnym skrzydle, które zostało w pewnym momencie opróżnione z nadmiernej liczby pracowników. Na początku byliśmy tam sami. Czasami korytarze świeciły pustkami i nawet się na nich nie paliło światło. Ludzie przemykali po nich niczym cienie, chociaż w pokojach aktywnie pracowano. Wyglądało to jak jakaś praca pod przykrywką. Po kilku tygodniach na naszym piętrze pojawiło się kolejne

wydawnictwo. Nie do wiary jakie – redakcja magazynu „Twój Styl”. To był już mocny zawodnik wydawniczy, a my dzieliliśmy z nimi przestrzeń na tej samej kondygnacji. Od tego momentu grupy redaktorów przemieszczających się po korytarzu w prawo i w lewo nieźle się ze sobą mieszały. Największe obawy miałam o ochronę naszych zdobyczy związanych z *know-how* pochodzącym ze studia graficznego. Przygotowywano tam liczne reklamy prasowe, które potem były zamieszczane w innych magazynach. Tworzyła się coraz większa konkurencja, tym bardziej że w „Twoim Stylu” pojawił się kącik aranżacji wnętrz.

Oczywiście pomimo pokonywania licznych schodów nie brakowało nam entuzjazmu. Dzień po dniu integrowaliśmy się jako zespół łączący prace redakcyjne z wydawniczymi, aby tworzyć elegancki magazyn o domach i stylu życia w szerokim ujęciu.

### **Wszystko pięknie, ale co dalej?**

Po niecałych trzech latach powoli zaczęłam się zsuwać z wymagającego wydawniczego szczytu, pomimo że magazyn był mile witany w wielu domach. Nadal pozostawałam pełna entuzjazmu, pisząc do czytelników słowa nasycone pięknem płynącym z wrażliwości i wyobraźni.

*Magazyn „Dom & Wnętrze” to pismo skierowane do ludzi ceniących piękno, wrażliwych na jego potrzeby, barwy i odcienie. Każdy rozumie je i postrzega inaczej, przeżywa na swój prywatny sposób. Wynika to z naszych doświadczeń, wyobraźni, wspomnień, a przede wszystkim z estetycznej wrażliwości.*

Listy pisane do czytelników były dla mnie nie tylko słowami, którymi chciałam się podzielić, ale też wspierającymi mnie samą i moją misję. Tymczasem zaczęłam mieć totalnie niejasną sytuację finansową. Przychody pochodzące z dystrybucji były mocno ograniczane z powodu opłaty za zwroty. Reklam również nie było aż tak wiele.

Któregoś dnia udałam się na pobliski parking, aby odebrać samochód. Tymczasem właśnie w tym momencie moje czarne BMW przebiło łańcuch przy bramie. Był symboliczny, bo cienki, ruchomy i pozbawiony kłódki. Auto mignęło mi tylko przed nosem. Kolega, który właśnie wyjeżdżał, zatrzymał się i rozpoczęliśmy pościg. To była sobota, więc ulice świeciły pustkami. Samochody nabierały ogromnej prędkości. Nagle w otwartym oknie BMW pojawiła się ręka z bronią. To zdecydowało, że dalej go już nie goniliśmy. Natychmiastowe zgłoszenie na komisariacie oprócz poświęconego czasu nic nie dało. Codziennie znikwały dziesiątki pojazdów.

Brak samochodu w mojej pracy był katastrofą. Musiałam przecież czymś się poruszać po mieście, a taksówek było jak na lekarstwo. Po paru dniach zdecydowaliśmy się z Krzysztofem na kupno dwudziestoletniego Jaguara. Chociaż samochód był urodziwy, biały z czerwonymi siedzeniami, i chodliwej marki, to z racji jego rocznika nie zachęcał do kradzieży.

To nie był koniec moich rozgrywek z rzeczywistością. Z wielu powodów zostałam grzecznie wyproszona z moją działalnością z rodzinnej firmy. Mieli dosyć zawiłych form dystrybucji i problemów związanych z prowadzeniem księgowości. Co mi więc pozostało, założyłam własną firmę wydawniczą. Przy okazji zgłosiłam się do przetargu, aby uzyskać lokum od miasta. Od tego momentu sprawy zaczęły przybierać inny obrót.

Zabawne, bo uzyskałam zgodę na wynajem wyjątkowej siedziby położonej przy ulicy Dobrej 72. Niewielki dworek nazwany Białą Willą. Miejsce wyjątkowe i wprost idealne do pracy twórczej – zdobycie takiej miejscówki graniczyło z cudem. Po dwóch dniach okazało się, że to miejsce należy do Uniwersytetu Warszawskiego. Umowa została anulowana. Koniec, kropka. Tytułem rekompensaty otrzymałam lokalizację na ulicy Pięknej w centrum Warszawy. To właśnie tam rozpoczęliśmy kolejną działalność wydawniczą. Słowo „piękno” przewijało się w moim życiu, jak gdybym go przyciągała w magiczny sposób. Most z przeszłym Świątynia Piękna,

nazwa ulicy, wkrótce założona tam Galeria Piękna i liczne akcje promocyjne Żyj jak najpiękniej. Taka ciekawostka: obecnie w Białej Willi znajduje się siedziba Kolegium Artes Liberales.

### **Tego nie da się opisać**

Lokal, który uzyskaliśmy do działalności wydawniczej, znajdował się naprzeciwko działu konsularnego ambasady amerykańskiej. Bardzo prestiżowe położenie, ale sama siedziba w środku, niestety, mocno zdewastowana. Poprzednio mieścił się tam dział księgowości Zarządu Komunalnego Miasta Warszawy. Powoli rozpoczęliśmy rewitalizację nowej siedziby za pomocą bardzo skromnych środków. Lokal zajmował cały parter budynku i tym samym był wyjątkowo duży. Dwanaście pokoi, z czego cztery naprawdę przestronne.

Przez dziewięć miesięcy mieliśmy zawieszony wydawanie magazynu, ale żyłam w przekonaniu, że to się zmieni bez względu na wszystko. Nadal spływały do nas pieniądze z Ruchu oraz reklam. Największym źródłem finansowania było odszkodowanie uzyskane od firmy zarządzającej parkingiem. Mogę śmiało stwierdzić, że kradzież auta pozwoliła nam przetrwać kilka miesięcy. Wyszliśmy w końcu na prostą. Nad wyraz pomocna okazała się nowo powstająca niemiecka firma dystrybucji prasy Propress. Poszukując nowych możliwości celowanej dystrybucji, trafiłam do ich biura. W zdawkowej rozmowie z prezesem Nikolausem von Nathusiussem podzieliłam się informacjami o trudnościach finansowych oraz tym, że będę musiała ograniczyć mocno nakład. Zapytał tylko, ile potrzebuję. Z uśmiechem odpowiedziałam, że pewnie pół miliona złotych, aby utrzymać poprzedni nakład. Za chwilę wychodziłam z jego firmy z czekiem opiewającym na tę kwotę. Niebawem.